

Relacja Marii (z Janotów-Bzowskich) Fitkau,
nagrana przez Małgorzatę Strasz w listopadzie 1996.

Kiedy się urodziłam, ojciec — żeby mnie uhonorować — posadził wielką aleję z jesionów i klonów. Ta aleja do dziś istnieje, tego jednego chamy nie wycięły.

Najdawniejsze wydarzenie, które pamiętam z Bobrownik: miałam cztery lata, może mniej, było zaćmienie słońca i wszyscy polecili oglądać, a ja zostałam w pokoju stołowym. Byłam tłusta, zanim doszłam za nimi, drzwi się zatrzasnęły. Ze strasznym krzykiem usiłowałam dostać do klamki, ale nie mogłam. To była straszne przeżycie.

Następny obrazek. Chłopcy ustawili drabiniasty wózek, którym jeździli z góry na dół, do rzeki. Pędziłam za nimi w celach rozrywkowych, przewróciłam się o dyszel tego wózka, a tam był gwóźdź. Wbił mi się w nogę, w kość. Pamiętam, jak się darłam, a potem przyszedł doktor, został przywieziony (20 kilometrów) końmi.

Dwór był niewielki, ale w mojej pamięci jest precudownym miejscem szczęśliwości. Składał się z jasnego, przeszklonego ganku, oplecionego winem, wielkiego, mrocznego przedpokoju, chłodnego nawet w największe upały, z sześciu pokoi.

W przedpokoju stała staroświecka komoda, na niej patera, gdzie leżały bilety osób, które u nas bywały. Dalej, prosto, wchodziło się do kredensu — między częścią mieszkalną a kuchenną. Pokoje odchodziły na lewo i na prawo. Chłopcy i ich bona, a później korepetytor, mieszkali na prawo.

Pokój z drzwiami na ogród był królestwem dziewczynek — moim, niani i młodszej ode mnie o cztery lata Teresy. Był różowy, a różyczki na tapecie bardzo mnie fascynowały, lubiłam im się przyglądać. Następny pokój to sypialnia rodziców. Stały tam dwa piękne zimlerowskie łóżka, także szafa i toaleta z tego samego kompletu. I najciekawsza rzecz — umywalnia z marmurowym blatem, wielką miednicą i dzbanem z fajansu. W soboty kąpała się w tej miednicy Teresa, bo wanna, w której ja się kąpałam, była za duża. Miednica była w niebieskie kwiatki. Na ścianie wisiał obraz Matki Boskiej Bolesnej, przed którym zawsze paliła się lampka.

Była kiedyś taka fotografia — stoję koło tych łóżek, grubas potwornie brzydki, w krakowskim ubranku, trzymając się pod bok_u. Służyła do rozśmieszania towarzysstwa i moich znajomych, głównie chłopców, którzy nie mogli się w tym potworku mnie dopatrzeć.

Z sypialnego wchodziło się do pokoju stołowego. Stał tam komplet z drzewa orzechowego, nad wielkim stołem wisiała lampa naftowa, którą można było podciągać niżej lub wyżej. Mechanizm, który ją poruszał, to był zbiornik ze śrutem. Ten śrut moi bracia wydłubywali w jakiś niewiadomy sposób i coś z niego robili:

Li

rozgrzewali i wlewali w szpary desek w podłodze. Do czego to im było potrzebne...? Z wielką ciekawością się temu przyglądałam.

Dalej przechodziło się do saloniku, urządzonego w staroświeckim stylu, z portierami z ciężkiego jedwabiu i z frędzlami, z których wyciągałam jedwabne nitki; miałam całą kupę tych nitek. Pamiętam, jak ojciec grał na fortepianie, a matka, pięknie ubrana, śpiewała.

Trzeba było wrócić do stołowego i stąd, przez ten chłodny przedpokój, przechodziło się na męską stronę, gdzie panowali czterej moi braciszki z hurmą chłopców ze wsi. Zagadką dla mnie, że ta czereda nie potopiła się, nie postrzelała, że wszyscy wyżyli. Po głębokiej rzece jeździli własnoręcznie sfabrykowanymi łodziami, ze starych karabinów robili jakąś broń, która jednak strzelała, chodzili po lasach, przynosili żmije, które wieszali za ogon w drzwiach, żeby nikt nie wchodził...

Tadeusz pisał we wspomnieniach, jak przywiązali bonę do krzesła. Pamiętam też, jak dławił się jajkiem... Teresa była malutka, trzymała się niani fartucha i właściwie jeszcze się nie liczyła. Chłopcy oczywiście mnie negliżowali, natomiast ja bardzo dążyłam do ich towarzystwa. Ich życie wydawało mi się bardzo ciekawe, chciałam brać w nim udział, a oni sobie wcale tego nie życzyli. Na siłę wkręcałam się do ich życia.

Szalenie lubiłam część kuchenną. Najpierw kredens — na wielkim stole codziennie pokojówka Dorotka ustawiała wszystkie lampy i czyściła je, żeby wieczorem zapłonęły ciepłym i jasnym światłem. Obok była spiżarnia — istny raj dla grubych łakomczuchów. Kolejne gospodynie lubiły mnie i karmiły różnymi konfiturami, suszonymi owocami, wędlinami... Z kredensu przechodziło się do pokoju służby - Dorotki, Natalki i innych dziewczyn, a za przepierzeniem stał ogromny piec chlebowy. Ceremonia pieczenia chleba była dla mnie ciekawa — wielkie bochny na drewnianej łopacie, na liściu chrzanu, wsadzało się do pieca, potem wyjmowało gorące; nie wolno było ich jeść, ale zawsze się coś uskubało. Na lewo była kuchnia.

W Bobrownikach się urodziłam i do dziesiątego roku życia nie wyjeżdżałam. To było nasze życie: dwór, dziedziniec, drzewa. Na środku dziedzińca rósł jesion z gałęziami opuszczonymi do ziemi — tam mieliśmy altany, mieszkania...

Kiedy zamieszkaliśmy w Warszawie, wylewaliśmy łzy za każdym drzewem, każdym kamieniem, każdym psem i kotem [zostawionym w Bobrownikach].

Z dziedzińca przed dworem szło się do ogrodu, bliżej była mała furka do inspektów, gdzie rosły wczesne rzodkiewki, bardzo przez towarzystwo poważane. W przeciwieństwie do pomidorów, w zasadzie jeszcze wówczas nie znanych; uważaliśmy, że to paskudztwo, którego nie można jeść. Potem, gdy już dużo gruntowych nasadzono w ogrodzie, było powiedziane, że dwórki (żony fornali) mogą przyjść i wziąć pomidory — ale one nie chciały.

Gdy miałam sześć lat, nasza piękna, ukochana matka nagle odeszła. Pamiętam moment, jak ojciec wrócił z Warszawy. Witałam się z nim i cieszyłam i spytałam, kiedy przyjedzie mamusia. Ojciec wziął mnie do ogrodu, usiedliśmy na ławce. Powiedział: „*Mamusia już do nas nie przyjedzie*”. Miesiącami czy latami powtarzałam sobie to zdanie. To było coś niezrozumiałego; zakodowałam sobie, że stało się coś strasznego i już nie będzie tak jak było. Wtedy, tak jak i teraz, zdarzały się romanse. Ale nikt o nich nie mówił. A tu nagle wybuchło, nie dało się ukryć.

To tragiczne zdarzenie odmieniło nasze życie. Dom był zawsze zalany słońcem i myśmy chowali się w słońcu... Nagle wszyscyśmy wydorosteli. Oczywiście nie zdawaliśmy sobie sprawy, zwłaszcza młodsze dzieci. Ale zaczęło się życie bez mamy, z kolejnymi ciotkami, opiekunkami, wychowawczyniami, bonami. Wiele się ich przewinęło, bo żadna nie mogła wytrzymać z chłopcami.

Przyjeżdżała nowa siła, całe bractwo odpowiednio nastawione... Kazała nam umyć ręce przed kolacją, zjedliśmy kolację, dziewczynki poszły do swojego pokoju, niania nas utuliła... Chłopcy udali, że idą spać, pani powiedziała „dobranoc”, zgasiła światło i zadowolona poszła do siebie. A wszyscy czterej bracia udali się nad rzekę łapać raki. Łapali je do rana, wrócili z rakami całkiem mokrzy. Tymczasem wychowawczyni zajrzała w nocy, czy się któryś nie odkrył, i zastała puste łóżka. Zaraz wyjechała, żeby nie stracić nerwów i życia.

W końcu ojciec zdecydował, że jedziemy do Warszawy.

Już jako dziecko, wydaje mi się, miałam ogromne zainteresowanie życiem, jakie by ono nie było. Cokolwiek by się działo, wszystko było ciekawe. Obora i dojenie krów, pasanie gęsi z dziećmi wiejskimi. Służba, ci którzy pracowali w podwórzu — ich życie było inne niż nasze, ale ciekawe i pociągające. Rano, zjadłszy śniadanie, powiedziawszy „dziękuję” i wstawszy od stołu, pędziliśmy do kuchni czeladnej, w podwórzu. Tam mieliśmy swoje kubki zawieszane na kołeczkach. Tu dopiero była rozkosz śniadania — stara Basia gotowała dla służby wspaniałą zalewajkę. Siadaliśmy na ławach, każdy dostawał swój kubek... Chyba nic na świecie nie było tak dobre, jak ten żur.

Życiem mojej siostry, gdy podrosła, były konie. Teresa godzinami siedziała w stajni, obserwowała dwulatki, które biegały na pastewniku... Tak samo Tadeusz. Ja siedziałam w chlewni, moim żywiołem były krowy i świnię. Miałam swoje ukochane świnię, podstawiły się, żeby je drapać. Lubiłam je i interesowałam się nimi. Zobaczyłam, jak świnia się prosi — to było niezwykle ważne i ciekawe. Znałam z imienia wszystkie prosięta, maciory. Bardzo ładna chlewnia, każda świnia miała tabliczkę z imieniem i swoimi danymi; uczyłam się na tych tabliczkach czytać. Jakoś uciekałam od faktu, że je zabijano... Gdy czasem ktoś kupował żywą świnię i ją

wywożono, tłumaczyłam sobie, że ta świnia wróci. Coś mi tam tłumaczono — że knury pojechały do świnek...

Jedna gospodyni oswoiła sobie maciorę, nazwała Funią. W końcu wyrosła na wielką świnie, chodziła za nią po pokojach.

Pędzono nas z podwórza, ale nie było siły.

Co roku wynajmowało się sad Żydowi. To było dla nas coś wspaniałego. Ten Żyd mieszkał w takiej budzie z całą swoją rodziną, a miał dużo dzieci. Zbierał owoce (jabłka, gruszki, śliwki), a dla dworu musiał dać określony odsyp — wyznaczoną ilość wszystkich owoców. Resztę pakował w skrzynie, wiół do miasta i sprzedawał. Drzewa koło dworu nie wchodziły w zakres jego sadu, były „nasze”. W piątki wieczorem robiliśmy wyprawy — ja też w tym brałam udział, bo strasznie się napierałam, powiedziałam, że będę krzyczeć, jak mnie bracia nie wezmą. Podkradaliśmy się pod tę jego budę i patrzyliśmy, jak Żydzi świętują szabes. Palily się świeczki, Żydzi byli ubrani w swoje szaty. Wyglądało to przepięknie. My z przyjaciółkami zaczajone w krzakach, chłopcy na drzewach (grabowa aleja oddzielała sad) mieli wspaniały widok. Szabes spędzaliśmy razem.

Zresztą bawiłyśmy się wspólnie z tymi dziewczynkami-Żydówkami. Gdy z Żydów ktoś był chory, pomagałam. W ogóle jak tylko ktoś zachorował, to przychodził do mnie — miałam wszystko przygotowane, maszerowałam, żeby pomóc, wzywałam lekarza... Siłą rzeczy na mnie spadły niektóre funkcje, które powinna spełniać matka.

Przestałam być gruba, gdy miałam 10 lat, wtedy wszyscy przestali się śmiać. Przedtem bracia skręcali mi ręce i mówili: "Patrz, tłuszcz ci wychodzi". Antek był od tego specjalistą.

Moi bracia chodzili jak hajdamaki, brudni, kolana pozbijane... Przyjeżdżali goście z Kluczevska. Tam było zupełnie inaczej, dzieci jak z magazynu mód. Pamiętam, jak Staś przyjechał w białym marynarskim ubranku, a chłopcy — nie wiem, czy go wepchnęli, czy walili kijami w żaby.. Przyszedł od stóp do głów zalany brudną wodą. Wtedy to już jakieś straszne kary na nich spadły.

U Konarskich nie było takiego „zbratania z ludem” jak u nas. Dzieci dworskie miały inne przepisy życiowe. W dużej mierze wynikało to z tego, że myśmy nie mieli matki i robiliśmy co chcieli. Ale u nas życie było dużo weselsze niż w Kluczewsku.

Poza tym były Rączki Grabowskich — dwóch chłopców i dziewczynka w moim wieku. Tam było pośrednio. Niemka-bona, panna Dora, uczyła ich niemieckiego: myśmy mieli pannę Frydę. Blisko też były Stanowiska. Dalej zaś — Oleszno, ale to już później Tadka raczej przyjaźnie, polowania.

Żadnych kinderbałów w Bobrownikach nie było. Bale, tańce młodzieżowe nie były w zwyczaju ani w modzie. Gdy przyjeżdżali goście, w niedzielę, szykowało się duży podwieczorek, wszyscy siedzieli przy stole, potem dzieci wstawały... Po podwie-

czorku szliśmy na spacer. Nie przypominam sobie żadnych zabaw w domu. Później, jak byliśmy starsi, owszem — Niemojewski wjechał na ogierze do stołowego pokoju, pijany w trupa; to pamiętam. I z tego konia wołał do mnie: „*Marychna, dlaczego ja już się ożeniłem!*”. Miałam 17 czy 18 lat. Niemojewscy byli inni niż my. Kazali chłopakom wchodzić na drzewa, strzelali do nich ze śrutu, a jak któryś był ranny, to dostawał premię finansową. Mój ojciec uważał, że to nie są właściwe zabawy.

Jeździliśmy do kościoła. Wchodziliśmy przez zakrystię — ławki kolatorskie stały przy ołtarzu. Obok nas mieli swoją ławkę nasi sąsiedzi, państwo Czapliccy. Niedzielną msza była rytuałem, od którego nie można było odstąpić.

[Stosunki ze służbą, z ludźmi ze wsi — z ludem — były bardzo bliskie.] Miałam trzy przyjaciółki: Nolkę Dziegłowską, Zośkę Krawczyk i trzecią... Razem pasłyśmy gęsi, chodziłyśmy kąpać się do rzeki. Bracia mieli swoich wiejskich chłopaków; jednym z tej gwardii był syn gajowego (później sam został gajowym).

Dożynki jak się odbywały, te dawne dożynki, kiedy jeszcze wszystko było tak jak było. Rodzice stali przed gankiem, a aleją wówczas jeszcze młodziutkich drzewek szedł barwny pochód dożynkowy. Przodownica niosła wieniec (miała czworo nieślubnych dzieci, ale świetnie pracowała). Śpiewano piosenki, najpierw ogólne — „*U naszego jaśniepana żyto i pszenica, u pana Grabowskiego (albo Konarskiego czy innego z sąsiadów) oset i bylica*”. Mnie na przykład tak śpiewali: „*A panienka starsza to jak w wianku róża, zjeżdżają się do niej chłopcy, choć taka nieduża*”. Wszyscyśmy się bawili. Kończyły się przyśpiewki, zaczynały się tańce — na podwórzu, grała orkiestra sprowadzona z Krzętowa (czterech czy pięciu muzykantów). Potem przenosiło się do izby czeladnej. Ale zdarzało się, że do rana tańczono na dziedzińcu. Był wielki poczęstunek, wszyscy się popili. Najpierw ojciec, a potem gdy majątek prowadził Tadeusz i Antek, nigdy nie kładł się spać, póki zabawa się nie skończyła; nie wiadomo było, czym się może skończyć, czasem noże błyskały, przychodzili chłopaki z innej wsi, uważali, że dziewczuchy tylko do nich należą. Lubiałam dożynki, ale trochę się bałam.

Przyjechaliśmy z Bobrownik do Warszawy. Był 1920 rok, wojna bolszewicka. Najstarszy brat, wówczas szesnastoletni, w mundurze I Pułku Szwoleżerów na wspaniałym ogierze sprowadzonym z Bobrownik wyruszył w bój. Poleciałam w Aleje Ujazdowskie; stałam przy studni, koło Łazienek, na kamieniach, widziałam, jak jego szwadron wyjeżdża z Agrykoli, i jego zobaczyłam.

W Warszawie zrobiłyśmy z Teresą taki numer. Z nianią chodziłyśmy do Ogrodu Pomologicznego (w okolicach Nowogrodzkiej), zdejmowałyśmy buty i bosy biegaliśmy po ścieżkach. Kiedyś wróciłyśmy tak do domu. Niania nas prosiła, błagała, a my — nie, bosy...

Co roku przyjeżdżaliśmy do Bobrownik. Nikt nie chciał słyszeć o morzu czy górach; tylko do Bobrownik. Jak przychodziły po nas konie — wolancik albo bryczka, zależnie od tego, ile nas jechało, zdejmowaliśmy buty po drodze i wyskakiwaliśmy boso. Potem byliśmy dorośli, gospodarowanie przejął brat Tadeusz, potem Antek. Tadeusz był romantyk, kochał Bobrowniki, natomiast wspaniałym gospodarzem był Antek, ale nie popuścił nikomu nawet pięciu minut, żeby się spóźnił do pracy, żeby coś zaniedbał albo ukradł.

Jakie sensacje były przed wojną, jak brat-lotnik, Jerzy, ~~wylądował~~ na koniczynie lądował... Z trzech wsi ludzie się zlatywali.

Miałam uczucie, że mogłabym przetańczyć całe życie. Nie mogłam się zdecydować na zamążpójście. Ciągłe były jakieś projekty, rodzina im przyklaskiwała... A ja nie chciałam — bo szkoda balów! Dopiero szkoła pielęgnarska tak mnie pochłonięła. Kiedyś nawet najstarszy brat dawał mi 100 złotych, żebym tylko zamiast na dyżur poszła na bal. Wybrałam dyżur; gdybym poszła wtedy na bal, przekreśliłabym całą szkołę, wyrzuciliby mnie.

Pojawiła się myśl, żeby Bobrowniki rozparcelować i sprzedać; chłopcy się zrzekli tych pieniędzy na rzecz ojca i nas dwóch — miałyśmy dostać posagi, a ojciec dożywocie. Podpisywałam to u rejenta, upoważniona przez rodzeństwo. Ale jak żeśmy sobie to wyobrazili — że Bobrowniki zostaną podzielone, posprzedawane po kawałku... — postanowiliśmy, że nie. Dostanie je Antek — najlepszy gospodarz. Nie wziął już na siebie żadnych zobowiązań wobec siostr — żadnych posagów, same mamy się starać. Bobrowniki były obciążone długiem hipotecznym, trzeba było to spłacić. W ten sposób ^{cały} ~~cały~~. Potem weszli bolszewicy i wszystko się skończyło.

Pojechałam do Bobrownik w 1946 roku. Ojciec był umierający, cały majątek został przejęty, a Antek zamknięty — ze wszystkimi panami: Konarskim, Grabowskim... Ponieważ we Włoszczowie nie było więzienia, zgromadzono ich w zakratowanym urzędzie skarbowym, razem siedemnastu. Nie dawano im żadnych obiadów, a tylko kawę czarną i chleb. Rano wchodził do nich milicjant i mówił: „Po pięciu do sroca!”.

Ojciec miał raka płuc, już nie można go było przewieźć, a nam nie wolno było przyjechać. Ale ja pojechałam (razem z koleżanką z pensji). Jechałyśmy dwie doby, na lorach. We Włoszczowie najpierw ruszyliśmy pod ten urząd skarbowy, gdzie panowie za kratami... Milicjant leżał na leżance, powiedział, że żadnych odwiedzin. Poszliśmy do tamtejszej restauracji, nakupiliśmy jedzenia, kotletów i kapusty. zanosiliśmy to w wielkiej misie do urzędu, tam prosiłam milicjanta, żeby dał jakieś miski czy talerze, żeby im zanieść. Odpowiedział: „Tyle casu zarli z talerzy, niech teraz zrą z papiru”. Zanosili im porcje na gazecie.

Potem pojechałam do dworu, do ojca. To był ostatni raz, kiedy widziałam dwór. Już w bardzo opłakanych stanie; rozkradli wszystko, zostawili tylko łóżko ojca i krzesło. Nawet stolik nocny mu zabrali. Puste pokoje...

[Ale kto? Miejscowa ludność?] Najprzód komitet. Najgłupszy fornał został jego przewodniczącym. Jacyś tam z Włoszczowy dygnitarze, ubowcy. Ojciec mi opowiadał, że jak tylko weszli, najpierw zabierali mosiężne klamki i mosiężne blachy sprzed pieców. Nie wiadomo dlaczego. A potem wzięli się za resztę. Meble, fortepian... Nie zostało nic.

Panowie siedzieli w urzędzie dość długo. Miałam dużą siłę przebicia, dotarłam do samego Bieruta. Na moim podaniu napisał czerwonym ołówkiem: „Jeżeli nie ma wyraźnych oskarżeń wobec obywatela Bzowskiego, proszę zwolnić. Gdyby były oskarżenia większej wagi, proszę papiery przysłać do mnie”. Załatwiła mi to jego sekretarka (późniejsza żona); była dla mnie bardzo sympatyczna.

Z tym papierem musiałam iść do dyrektora departamentu więziennictwa, majora Dudy. Major Duda, wielki, przystojny, straszny chłop, siedział za biurkiem, nie kazał siadać... Podałam mu podanie i usiadłam. Miałam na palcu sygnet. On popatrzył i wycedził:

— Tak, obywatele ziemscy... I pani w tym do mnie przychodzi?

— Proszę pana, ja tego nigdy nie zdejmuję, dlaczego teraz miałabym zdjąć?

Jeszcze raz przeczytał podanie, potem wstał, oparł się o biurko, taki wieki jak sosna, i powiedział tak: „Toż ja bym was, skurwysynów, powywieszał własną ręką”. Zaczęłam się śmiać. On zbaraniał.

— Z czego się pani śmieje?

— Bo jeszcze nigdy w życiu nikt w ten sposób się do mnie nie odezwał.

Potem chciał, żebym została do jutra... Mówiłam, że mam dzieci, mąż by się zdenerwował. Więc zaproponował, żebym dla nich pracowała, bo się świetnie nadaje. Dostaniemy piękne mieszkanie w Warsz^awie, mąż — pracę... Właściwie za nic. „Od czasu do czasu coś mi pani opowie.”

— Nie, panie majorze, nie nadaje się. Co dzisiaj usłyszę, to jutro opowiem, więc gdzie się nadaje...

Ale Antka wypuścili. Pan major Duda dał mi skierowanie do swojej żony, pani porucznik Żurek. Ona (chyba telefonicznie) wydała polecenie Włoszczowie, żeby puścili. Antek przyjechał do nas, do Milanówka, w starych oberwanych butach, w jednym ubraniu. Później puścili także wszystkich pozostałych. Ale ciągle mieli do nich jakieś pretensje, pytania, wzywali.

Gdy mój syn miał 9 lat, wzięłam go do Bobrownik, żeby pokazać. Gajowy przywiózł nas z Włoszczowy, zatrzymaliśmy się w jego chałupie. Mój syn, wysportowany, wszedł na gruszę na podwórzu, wysoko. Matka gajowego, zgrzybiała

staruszczyzna, która nigdy nam tę zalewajkę wlewała do kubków, zaczęła wołać do niego: „*Paniczu, panicz zejdzie, bo jeszcze się paniczowi nóżka omsknie!*”. On zszedł i mnie pytał: „*A co to ten panicz znaczy?*”. Potem gajowy przyniósł czapkę orzechów: „*Niech panicz sobie poje, przecież leszczyny to pan dziedzic sadził*”. A jak moją córkę Agnieszkę baby łapały za ręce i chciały ją w ręce całować... „*Mamo, uciekajmy, co tu się dzieje!*”. To był inny świat.

Pojechałam tam z dziećmi... Strasznie płakałam.. Dom rozebrany, w podwórzu jakieś straszne budowle spółdzielcze, bloki, ogród — dżungla, drzewa nie przecinały, dziczyły.

Wiele lat później, gdy już dawno byłam mężatką, Antek dał mi list od gajowego. Niezwykły list miłosny. Gajowy napisał, że już wtedy, kiedy ja biegałam w białych skarpetkach, a on wybierał dla mnie najlepsze kartofle z ognia, wiedział, że mnie kocha i że nikogo już nigdy tak kochał nie będzie. I tak się stało. Umarł [samotny], miał chyba z 50 lat.